Rolnicy polscy, mali i wielcy — łączcie się!

Rok III. **Kraków, dnia 8. Sierpnia 1909 r.** **Nr. 32.**



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do Administracyi „Roli" w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny L. 8. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Poseł a poseł.

Otrzymujemy następujące uwagi:

Rola słusznie ocenia położenie, w jakiem znalazł się obecnie parlament po zamknięciu sesyi. Godzę się zupełnie na to, że parlament sam sobie zawinił, że nie reprezentuje w Wiedniu interesów ludu, jak to obiecywał i dlatego nie trzeba za dużo po nim sobie obiecywać. Ale *Rola* pisząc o posłach, traktuje ich wszystkich jednakowo; każdy zawinił, przyjechał z niczem, więc każdy zasługuje na potępienie przez wyborców.

Mnie się zdaje, że trzeba ich podzielić na dwie części: takich, którzy pragnęli utrzymania parlamentu i aby ten parlament pracował — i takich, którym było wszystko jedno, byle pokazać się wyborcom w świetle „opozycyi". Ci ostatni wiedzą, co rozumni wyborcy o nich myślą — ale pierwsi? Dlaczego mają ponosić odpowiedzialność wespół z tamtymi? Przecież oni niczemu nie są winni? Zdaje mi się, że *Rola* uczyniła im krzywdę, bo cóż oni poradzą? Chcieliby pracować, chcieliby zdziałać coś dla nas, lecz obstrukcya im przeszkadza. Bić się z przeciwnikami na kułaki nie będą, ani rządu do tego nie zmuszą. Cóż więc im pozostaje? I dlaczego ponoszą odpowiedzialność z tamtymi razem?

Proszę o wyjaśnienie mi, dlaczego *Rola* postępuje tak? Jestem czytelnikiem od początku istnienia pisma i po raz pierwszy znajduję w niem coś na co zgodzić mi się trudno. Pozdrawiam Szanowną Redakcyę i proszę o parę słów odpowiedzi.

(Podpis)

Odpowiadamy tak:

Idzie tu o zwykłe nieporozumienie. Nigdy nie byliśmy zwolennikami sumarycznego obwiniania i potępiania. Kto mówi „wszyscy ci a ci nie mają racyi, szkodzą, podburzają" — ten nie ma racyi, bo potępia ogólnikowo. To też gdy pisaliśmy ostro o parlamentarnych nierobach, mogliśmy mieć na

myśli oczywiście tylko takich, którzy nimi w istocie są! To chyba jasne! W poprzednich artykułach nieraz występowaliśmy w podobny sposób, zastrzegłszy się już dawno, że mamy na mysli tylko posłów szkodliwych interesom wyborców, nie powtarzamy tego ciągle, bo to rozumie się samo przez się.

Są całe stronnictwa i poszczególni posłowie, którzy zasłużyli się w ostatniej sesyi interesom wyborców. Co prawda, okoliczności tak chciały, że mogli zasłużyć się przeważnie tylko biernie, t. j. przez starania, aby szkodliwa działalność zwolenników obstrukcyi została sparaliżowana. Ale i to jest bezwarunkowo zasługa, bo poseł taki, czy stronnictwo całe, miało oczywiste chęci, aby coś zdziałać i starało się przedewszystkiem usunąć przeszkody. Zdawaliśmy podczas sesyi sprawę z przebiegu tych usiłowań, każdy więc wie, że np. Koło Polskie i inne stronnictwa robiły co mogły, aby parlament uratować i dla kraju coś zdziałać. Nie rozumiemy więc, za jakimi posłami nasz korespondent się ujmuje. Rozumni i uczciwi byli z naszych uwag wykluczeni już tem samem, że nie „ćmią“, ani nie awanturują się w Wiedniu, innych zaś chyba bronić nie warto.

Nam zaś szło o co innego i dziwimy się że szanowny korespondent mógł to przeoczyć. My chcieliśmy wykazać, że po pierwsze: rząd traktuje ten parlament, który wyszedł z równego głosowania, daleko gorzej od poprzedniego parlamentu kuryalnego. Rząd w przeszłym roku uważał, że może wpływać na posłów tak niemoralnym środkiem, jak zatrzymanie lub odejmowanie dziesiątek poselskich! Tego z dawnym parlamentem nikt przedsięwziąć nie poważył się! A wniosek stąd, że powaga czteroprzymiotnikowego parlamentu jest w oczach rządu niską.

Powtóre, rząd wyraził się dość jasno, że nawet gdyby Izba odmówiła mu zaufania, to nie ustąpi. Tego również z dawnym parlamentem rząd by nie uczynił, a z obecnym robi. Dlaczego? Bo powaga jego jest w oczach rządu niską.

Na interpelacye posłów rząd odpowiada najczęściej aby zbyć, a czasem wcale — z wyjątkiem niewielu takich, które są wnoszone przez poważne stronnictwa. Dlaczego? Bo posłowie zasypują rząd interpelacyami o byle głupstwo, więc naturalnie, że takie interpelacye są lekceważone. A to samo odnosi się do tonu, w jakim stawia się rządowi żądania. Dawniej czyniono to tak oględnie i w tak stanowczych wypadkach, że rząd liczył się już z najmniejszem zaostrzeniem tonu. Teraz nie przemawia się prawie inaczej, jak krzykiem, więc rząd, widząc, iż o lada drobnostkę podnosi się wrzawa, przestał na nią zwracać uwagę.

To chcieliśmy wykazać, a zarazem zwrócić uwagę raz jeszcze na to, czego nigdy nie przestaniemy powtarzać: na nic skargi i utyskiwania wyborców, na nic potępienie opinii publicznej, jeżeli wyborcy sami nie zrozumieją, że sami są winni, jeżeli oddadzą mandaty ludziom, którzy do posłowania nie dorośli. Tej zasady ogólnej zawsze pilnować będziemy i tak jak przy poprzednich wyborach, tak i przy każdych innych powtórzymy: nie słuchać co poseł obiecuje, ale zastanowić się, czy jest dość rozumny i dość gotów do poświęcającej się pracy, aby mandat mu dać? I druga jeszcze zasada, którą również powtarzamy i powtarzać będziemy: nie system wyborczy, ale wartość posłów rozstrzyga o wartości ciała prawodawczego. Że tak jest, mamy najlepszy dowód na parlamencie wiedeńskim. Tyle obiecywali nam zwolennicy równego głosowania po nowej Izbie — i zawiedli się. Miały ustać spory narodowościowe, nie ustały, wybuchły z jeszcze większą siłą. Miały zacząć się prace ekonomiczne dla dobra wyborców, nie zaczęły się, bo obstrukcya do niczego nie dopuszcza. Miał parlament działać poważnie i spokojnie, jak przystało na tę nazwę, którą sobie samowolnie przybrał: „parlamentu ludowego“, nie działa. I na nic usiłowania stronnictw poważnych. Próżno usiłują przekonać, wysunąć na pierwszy plan interes ogółu. Równe głosowanie wprowadziło do parlamentu tylu krzykaczy, że Izba musiała być zamkniętą!

To chcieliśmy powiedzieć i to chyba łatwe do zrozumienia! A wnioski już każdy sam potrafi wyciągnąć.

Co słychać w kraju?

Siczyńskij.

Morderca ś. p. Andrzeja Potockiego, Siczyńskij, został ułaskawiony przez cesarza. Wiadomo, że sąd przysięgłych skazał go na śmierć przez powieszenie, jak każe prawo i sumienie. Ale równocześnie ten sam sąd polecił go do łaski cesarskiej, a to samo uczyniła już poprzednio nieszczęśliwa wdowa po zamordowanym, Krystyna hr. Potocka. Ten dowód uczuć pojednawczych i wielkoduszności będzie trwale zapisany w dziejach walki, jaką prowadzą agitatorzy ruscy przeciw Polakom w Galicyi. Będzie on świadczył, że na największe krzywdy i zbrodnie przeciw nam, odpowiadamy chrześcijańskiem miłosierdziem. Siczyńskij spełnił zbrodnię, za którą niema dość wielkiej kary. Ale Polacy nie chcieli jego krwi, a także nie chcieli, aby szubienica jego wznosiła się wiecznie między nami a Rusinami jako mur graniczny; już przy trumnie ś. p. Potockiego odrazu powiedziano: daj Boże, aby ta krew niewinnie przelana przyczyniła się do zgody między narodami, mieszkającemi na jednej ziemi!

Daj Boże, aby tak było!

Gdy do sądu lwowskiego nadszedł telegram, że cesarz zamienił karę śmierci Siczyńskiemu na 20 lat ciężkiego więzienia z postem w każdą rocznicę zbrodni, przeczytano mu ułaskawienie, co przyjął spokojnie. Z powodu starań rodziny Siczyńskiego i jego obrońców zgodziła się nadprokuratorya państwa we Lwowie na przewiezienie Siczyńskiego do więzienia w Stanisławowie. W piątek o godzinie 5 rano przywołano Siczyńskiego do kancelaryi zarządu i polecono mu, aby się natychmiast ubrał. Dwóch dozorców w krytej karetce odstawiło Siczyńskiego na główny dworzec.

Przewiezienie mordercy tak opisują dzienniki:

W osobnym przedziale pociągu osobowego, odchodzącego ze Lwowa o godzinie 6·10 rano, a przychodzącego do Stanisławowa o godz. 9·40, siedział w towarzystwie dwóch dozorców więzien-

nych Mirosław Siczyński. Przez cały czas podróży wyglądał przez okno. Punktualnie pociąg stanął na stacyi stanisławowskiej. Publiczności, a względnie podróżnych, było niewiele. Uwagę tylko zwracały nerwowe ruchy kilku młodych ludzi, którzy, stojąc na peronie, pilnie obserwowali pociąg. Z przedostatniego wagonu pociągu wyszedł w towarzystwie dwóch uzbrojonych dozorców więzień. Był to Mirosław Siczyński. Szczupły, twarz ogolona, z zasuniętą na oczy czapką więzienną. Ręce zakute. Z grupki krzyknięto:

— Jak się majesz, Mirosiu?

Siczyński oglądnął się, chwilę patrzył niezdecydowany, poczem rzucił uśmieszek w stronę witających i zakutemi rękami zdejmując czapkę z głowy, odrzekł:

— *Diakuju! Wsio dobre!*

Strażnicy przyspieszyli kroku. Razem z nimi skierował się ku wyjściu Siczyński. Minęli bramę i ukazali się na drugiej stronie peronu na placu przed dworcem. Tymczasem zaalarmował ktoś publiczność, że mordercę namiestnika przyprowadzono ze Lwowa. Znaczna grupa ludzi rzuciła się w tę stronę. Zauważyli to strażnicy. Przytrzymali dorożkę, nastawili budę, poczem odjechali razem z więźniem, eskortowanym ulicą Trzeciego Maja w kierunku ulicy Gołuchowskiego, gdzie za parkiem koło t. zw. „Dąbrowy" znajdują się obszerne zabudowania największego więzienia galicyjskiego, poświęconego grecko-katolickim więźniom, odsiadującym karę ponad rok.

Wygląd Siczyńskiego jest normalny. Trochę zeszczuplał. Tylko twarz miał ogoloną i to niezupełnie, gdyż pozostawiono mu mały wąsik; na głowie bujna czupryna. Obecnie Siczyński przesiaduje w osobnej celi, oczekując, co zadecyduje t. zw. konferencya więzienna. Gdy się zgodzi, oddany będzie do kancelaryi więziennej. Przedtem zupełnie się go ogoli, co dotąd się nie stało.

Sztuczne nawozy i sposób ich użycia.

Mieć dobre urodzaje — któżby nie pragnął! Lecz wiemy, że dobre urodzaje osiągnie tylko ten, kto rolę swą starannie uprawia i silnie nawozi.

Najwięcej używanym i najlepszym nawozem jest gnój bydlęcy, lecz szczęśliwym nazwać może się ten gospodarz, który rolę swą co trzeci rok gnojem bydlęcym nawieść może, gdyż w większej części gospodarstw przychodzi gnój co piąty, szósty, a czasem i co ósmy rok, a przecież płody co rok siewane, co rok świeżego potrzebują pożywienia, a gospodarz co rok pragnąłby dobrych urodzajów.

Jak na to poradzić?

Oto używać obok gnoju jaknajwięcej zielonych i sztucznych nawozów!

W jaki sposób rolnik o zielone nawozy starać się powinien, o tem pisaliśmy na wiosnę; obecnie podamy kilka najważniejszych uwag o tem, jakich sztucznych nawozów i w jaki sposób używać należy.

Chemiczne badania i rozbiory sprzątniętych z roli płodów wykazały, że płody te zawierają w wysuszonym stanie następujące składniki:

	Wody	Azotu	Potasu	Kwasu fosforowego	Wapna	Popiołu	Kwasu krzemionowego
	K I L O G R A M Ó W						
1000 kg. żyta (ziarna) zawiera:	143	18	6	9	1/2	17	8/10
1000 kg. słomy żytniej „	143	4	9	3	3	38	19
1000 kg. plew żytnich „	143	6	5	6	4	82	66
1000 kg. owsa (ziarna) „	144	18	5	7	1	27	11
1000 kg. słomy owsianej „	143	6	16	3	4	62	29
1000 kg. plew owsianych „	143	7	5	4	1	71	50
1000 kg. konicz. (siana) „	165	25	25	7	21	68	2
1000 kg. ziemn. (korzeni) „	750	3	6	2	3/10	10	2/10

Azot w płodach rolniczych odgrywa najważniejszą rolę i wytwarza w nich części białkowate, najwięcej pożywne; części potasowe są do soli podobne i w kaincie i solach potasowych zawarte; przyczyniają się bardzo do bujnego wzrostu roślin. Kwas fosforowy i wapno są do wzrostu roślin niezbędne i służą w pokarmach do wytworzenia kości u ludzi i zwierząt; popiół przedstawia mniej użyteczne części płodów; kwas krzemieniowy nadaje płodom, a zwłaszcza słomie zbóż twardości. Oprócz powyższych najważniejszych składników, zawierają płody rolnicze i inne, mniej ważne.

Najważniejszymi składnikami płodów rolniczych, od których zawartości w roli najbardziej bujny wzrost tych płodów zależy, są: azot, fosfor, potas i wapno.

Ziemie nasze zawierają w sobie, jedne mniej, drugie więcej tych składników i to w stanie raz mniej, drugi raz więcej przyswajalnym. Powietrze, a zwłaszcza kwasoród i kwas węglowy, woda, ciepło i mróz roztwierają i rozkładają te części ziemi na pokarm dla roślin, lecz same nie są w stanie wytworzyć ich tyle, ile ich dobry sprzęt roślin z ziemi wyciąga. Dlatego gospodarz, chcąc mieć dobre urodzaje, musi ich roślinom i ze swej strony dostarczyć.

Ziemie czarne, próchnicowe zawierają w sobie zazwyczaj dużo azotu, a braknie im fosforu i potasu. Ziemie glinkowate mają podostatkiem potasu, a brakuje im zazwyczaj fosforu i azotu. Ziemie piaszczyste posiadają za mało wszystkich gatunków pokarmu i trzeba im wszystkich dodawać. Którym ziemiom i jakich pokarmów brakuje, o tem przekonać się można zapomocą rozbioru chemicznego tychże, lub najpewniej, zapomocą prób z rozmaitemi nawozami sztucznemi czynionych. Próby te należy czynić na małych kawałkach i to w ten sposób, że jeden kawałek zostawimy bez wszelkich nawozów; na drugi daje się sztuczny nawóz, zawierający tylko fosfor (superfosfat lub tomasynę); na trzeci damy tylko nawóz, potas zawierający, a zatem kainit, lub sole sztasfurckie; na czwarty damy nawóz fosfor i potas zawierający; na piąty kawałek nawozy fosfor, potas i azot (sól chilijska) zawierający, a na osobnym kawałku zrobimy próbę z dodatkiem wapna.

Próby te pokażą nam najpewniej, na jakich nawozach udadzą nam się zboża najlepiej i czego ziemi dodać należy, a poznawszy to, śmiało większej ilości nawozów użyć możemy i to napewno z dobrym skutkiem.

Sztuczne nawozy pochodzą z rozmaitych źródeł i posiadają rozmaite własności, które rolnik, chcąc ich użyć z pożytkiem, znać powinien. I tak: nawozy fosforowe pochodzą albo z palonych i mielonych kości i nazywają się mąką z kości. Nawóz ten potrzebuje dwóch i trzech lat, zanim się w ziemi

zupełnie rozłoży. Jeżeli do tej mąki z kości dodamy kwasu siarczanego, to ona rozłoży się przeważnie w pierwszym roku, a reszta w drugim roku i nawóz ten nazywa się superfosfatem z koścl, czyli superfosfatem organicznym. Do superfosfatu tego można dodać jeszcze azotu w formie amoniaku i wtenczas nazywa się superfosfatem organicznym amoniakalnym.

Oprócz tego wyrabia się nawóz fosforowy z kamieni, czyli minerałów, zawierających dużo fosforu i dlatego fosforytami nazwanych. Kamienie te roztwarza się zapomocą wysokiego ciepła w osobno do tego urządzonych piecach, miele się na kamieniach młyńskich na drobny proszek i doprawia się kwasem siarczanym, aby się fosfor tam zawarty łatwiej rozpuszczał i roślinom na pokarm służył. Nawóz taki nazywa się superfosfatem mineralnym. A i do tego dodać można azotu w formie amoniaku i wtenczas nazywa się superfosfatem mineralnym amoniakalnym. Superfosfaty zawierają 13 do 24 procent łatwo rozpuszczalnego fosforu i płaci się za nie wedle zawartości fosforu, ewentualnie i azotu. Obydwa te superfosfaty nadają się najlepiej na ziemie zwięzłe, glinkowate i mokrawe. Daje się po 100 do 150 kilo na morg krótko przed siewem i zawłóczy się.

Nawozów potasowych dostarcza nam kainit i czyszczone czyli koncentrownne sole sztasfurckie, zawierające 16 do 40 części potasu. Pochodzą one z kopalni koło miasta Stasfurt, w Niemczech i dlatego solami stasfurtskiemi się nazywają. Rozkładają się one powoli i zawierają, a zwłaszcza kainit, oprócz potasu chlorek, który jest dla roślin szkodliwy. Dlatego obydwa rozsiewać należy na rolę przynajmniej cztery tygodnie przed siewem ziarna i takowe zaorać, albo dobrze zawlec, ażeby ów szkodliwy chlorek rozłożył się w ziemi przed siewem ziarna i temuż nie szkodził. Jeżeli chcemy ażeby nawozy te wyszły oziminie na pożytek, to możemy dać je już pod wiosenny zasiew, np. pod mięszaninę, owies, łubin itp., lecz zawsze około czterech tygodni przed siewem ziarna. Nawozy te rozłożą się przez lato, a ozimina wyciągnie z nich korzyści. Daje się kainitu 200 do 400 kilo na morgę, koncentrowanych soli stasfurtskich stosunkowo mniej. Czarne, próchnicowe role, mursze i piaski, oraz wszelkie łąki są za nawozy potasowe bardzo wdzięczne, niemniej jednak i role piaszczysto-glinkowate. Na łąki należy rozsiewać je na zimę, albo w lutym lub marcu, zanim się wegetacya traw rozbudzi. Same sole potasowe nie dają jednak wielkiego skutku, lecz dopiero w połączeniu z nawozem fosforowym, a najlepiej z żużlami Tomasa, czyli tomasyną.

Jest to nawóz niezbyt dawno odkryty. Pochodzi z odpadków żelaza i zawiera fosfor i pewną część wapna. Działa doskonale na cieplejsze ziemie, a więc piaszczyste, piaszczysto-glinkowate, na łąki, a zwłaszcza na murszate w połączeniu z kainitem. Nie zawiera w sobie szkodliwych części i można go dać krótko przed, albo i razem ze siewem zboża. Daje się 150 do 300 kilo na morgę.

Dodatek wapna do soli działa zazwyczaj bardzo zbawiennie. Ciężkie gliny skrusza, zbyt mokre i wskutek tego kwaśne odkwasza i czyni urodzajniejszymi, a na wszystkich ziemiach przyczynia się do bujniejszego wzrostu roślin, zwłaszcza pod rośliny strączkowe jak groch, wyka, bób i pod trawy i koniczyny. Na nawóz używa się zazwyczaj odpadków gaszonego wapna, tak zwanego prósza, pyłu, albo odpadków od cukrowni czyli szlamu wapiennego. Można go używać tak pod jesienne, jak pod wiosenne zasiewy, lecz trzeba je wprzód zlasować. W tym celu układa je się na polu, na którem ma być użyte w małe kupeczki, obsypuje się je lekko ziemią, ażeby deszcz i powietrze do niego miało dostęp. W ciągu trzech do czterech tygodni wapno się zlasuje, grupki się porozsypują, a wtenczas rozsiewa je się na polu i zabronuje. Na mórg (austryacki) używa się 8 do 12 ctn. metrycznych.

Najważniejszym pokarmem dla roślin jest azot. Rośliny strączkowe i liściaste jak groch, wyka, bobik, łubin, seradela i koniczyna posiadają tę drogocenną własność, że potrafią sobie przyswoić azot z powietrza i zużyć go na swe pożywienie. Tym więc azotu dodawać nie potrzeba, lecz zboża kłosowe jak żyto, pszenica, jęczmień i owies, a oprócz tego buraki są za dodatek azotu nadzwyczaj wdzięczne. Słabe zasiewy poprawiają się jakgdyby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej; stają się buro-zielone, rosną szybko i wydają obfite plony. Używa się tych nawozów w formie soli chilijskiej, lub siarczanu amoniaku. Sól chilijska rozpuszcza się bardzo prędko, siarczan amoniaku cokolwiek wolniej. Najwięcej używana jest sól chilijska i rozsiewa ją się na wiosnę na oziminę wtenczas, kiedy zaczyna się ruszać t. j. na początku marca, na jęczmień, owies i buraki, kiedy dostają drugi listek. Lecz ponieważ deszcz wypłukuje łatwo saletrę do głębszych warstw ziemi, skąd już rośliny korzystać z niej nie mogą, dlatego daje ją się w dwóch lub trzech dawkach w odstępach dwóch do trzech tygodni. Na zboża daje się 30, 50 do 80 kilo na mórg, na buraki 50 do 100 kilo, rozsiewając na wierzch zasiewów, lub przy burakach pod każdą roślinę.

Przy kupnie nawozów sztucznych powinien każdy gospodarz żądać piśmiennej gwarancyi od sprzedającego na to, ile zawierają pokarmów roślinnych w wodzie rozpuszczalnych. Odbierając je, należy przy świadkach wziąć trzy próby, jednę posłać sprzedającemu nawóz, drugą do laboratorym chemicznego do zbadania, a trzecią zatrzymać aż do rozstrzygnięcia sprawy. Jeżeli laboratoryum chemiczne wykaże, że nawozy nie zawierają tyle pokarmów, ile gwarantowano, natenczas płaci się za nie odpowiednio mniej. Kto chce uniknąć ambarasu z rozbiorem chemicznym, a nie chce być oszukanym, ten powinien kupować nawozy tylko u uczciwych chrześcijańskich kupców.

To są główne, w krótkości podane wskazówki co do jakości i sposobu użycia sztucznych nawozów. Wielu z gospodarzy okazuje jeszcze co do użycia ich niedowierzanie, a wielu nie wie, z czego bywają wyrabiane, ile i jak ich użyć. Ostatnim więc robienie prób na małych kawałkach gorąco polecić możemy, a skoro wedle powyższych wskazówek postępować będą, przekonają się niewątpliwie o tem, że użycie sztucznych nawozów przy starannej uprawie roli, zwróci im nietylko uczyniony nakład, ale oprócz tego znakomite przyniesie im zyski. Widząc zaś na całem polu doskonałe urodzaje, stokroć większe w gospodarce znajdować będą zadowolenie.

Wł. Wąsowicz.

Rozdrabnianie ziemi.

W *Przew. Kółek* zabiera głos w tej sprawie p. Larysz-Niedzielski ze Śledziejowic. Oto główne ustępy jego wywodów:

Ustawami zasadniczemi monarchii austryackiej, uchwalonemi w r. 1867 pod wpływem liberalizmu i idącego z nim ręka w rękę kapitału ruchomego, podzielność bez granic ziemi została zasadniczo uznana. Ziemię, nie bacząc na jej wręcz odrębne właściwości, uznano bez zastrzeżeń jako przedmiot handlu tak dobrze jak cukier, kawę, zboże, sukno, które dzielić i krajać, handlując niemi, można dowolnie i uczyniono ją przedmiotem handlowej spekulacyi przeciw jej naturze.

W innych prowincyach austryackich zmiana ta nie wydała tak strasznych jak u nas owoców. Dlaczego? Raz dlatego, że w tych prowincyach ludność niepolska była mogła naturą swego charakteru, zdrowym rozsądkiem i siłą zwyczaju oprzeć się tej polskiej skłonności dzielenia ziemi. U nas w Polsce ziemię — państwo dzielił Krzywousty i państwo osłabił, wtrącił w odmęt dwuwiekowych zawieruch na korzyść wrogów naszych, którzy z tego skorzystali, ziemię dzielił szlachcic, a z ogromnych fortun pozostały strzępy i zubożenie, ziemię, gdy mu ustawa dozwoliła, dzieli chłop i doprowadza dziś do proletaryatu rolnego, zatracającego ogromne zalety stanu włościańskiego.

Ludność niepolska uchroniła się przed tem niebezpieczeństwem wolności dzielenia ziemi swem konserwatywnem usposobieniem, które wyrobiło prawo zwyczajowe, iż jeden zatrzymywał całe gospodarstwo, jako jednostkę gospodarczą, zdolną do istnienia i rozwoju. Uchroniła się swem wyższem oświeceniem, iż sporządzała ważne w obliczu prawa testamenty.

Austryacki kodeks cywilny pomaga, pcha do rozbijania ziemi. Jeśli chłop umiera bez testamentu, lub sporządzi go nielegalnie (co na jedno wychodzi), gospodarstwo jego rozpryskuje się na strzępy do równego działu. Jeśli zaś przy niem chce się koniecznie jeden utrzymać, wtedy bierze na siebie spłaty nad siły, zaprzedając się jak niewolnik kapitałowi, który go całym swym ciężarem w formie pożyczek na spłaty przygniata. Tu znów wina leży w rzymskiem pojęciu prawa, na którem się kodeks austryacki uformował, szacowania wartości ziemi, przyczem uważa ją jako rzecz na równi ze zbożem, kruszcem itd., jako przedmiot zwykły handlu.

Przy szacowaniu dziś ziemi dla spadków nikt się nie troszczy o to, co ta ziemia przynosi, jaką daje rentę, aby wedle tego jej wartość oznaczyć, ale szacuje się ją jako wartość targową, jak korzec pszenicy na giełdzie. Wedle tego oznacza się spłaty niepomiernie do tego, który chce się przy ziemi utrzymać, lub skazuje go na nędzny żywot bez nadziei wybrnięcia z długów.

Właściciel gospodarstwa zdolnego nietylko do istnienia, ale i do rozwoju, mógłby dać inne zawodowe wykształcenie swym dzieciom, niż dziś jedno- lub dwumorgowy gospodarz. Czyż on jest nawet gospodarzem? Czyż ten grunt jest w stanie jego i jego rodzinę wyżywić, dać dzieciom lepsze wykształcenie? Jeśli które z dzieci idzie do szkół wyższych, wychodzi z nich z małym wyjątkiem nieukiem (nie szkoły temu winne), bo zamiast poświęcić się cały nauce i z niej korzystać, musi lekcyami o chłodzie i głodzie zarabiać na kawałek chleba, wychodzi z nich niedouczony, rozczarowany, gdy po tych trudach nie znajdzie odpowiedniej posady, rozgoryczony z żalem do społeczeństwa za jego złe urządzenie. Wogóle szkoły u nas wydają za mało zastępów ludzi produkujących, a za dużo konsumujących: urzędników wszelkiego rodzaju, lekarzy, adwokatów, nauczycieli, którzy pracują umysłowo, ale którym społeczeństwo za ich uczciwą, żmudną, pożyteczną pracę musi gotowym, przez się zdobytym groszem opłacić. Takich, którzy się oglądają na pensyę, jest coraz więcej (i nieraz biedę klepią), tych, którzy grosz wydobywają, coraz mniej.

Ale czemu włościańscy synowie idą raczej do gimnazyum, nie do szkół rolniczych, aby się nauczyli lepiej gospodarzyć? Zarzucają szkołom rolniczym u nas, że są źle urządzone, nieodpowiednio dla włościan, że ze szkół tych funkcyonaryusze dla większej własności wychodzą. Ale proszę mi pokazać typ szkół rolniczych dla jedno- lub dwu morgowych gospodarstw?

Wszakby to musiały być szkoły raczej ogrodnicze do ręcznej uprawy, któreby nauczyły truskawkami, kwiatami wydobyć z jednej morgi tak stosunkowo ogromne dochody, aby wystarczyły na utrzymanie całej rodziny, mielibyśmy może dużo kwiatów, ale mało zboża.

Na poprawę tych stosunków nie pomoże nauka rolnictwa ani przy szkole ludowej, ani przy wojsku. Gdyby się znalazła taka idealna włościańska szkoła rolnicza, to pytam się, do czego ten uczeń, ukończywszy ją, ma wracać? Dó tego dwumorgowego gospodarstwa, nie mającego warunków bytu i rozwoju? Do gospodarstwa, które nie może utrzymać zaprzęgu, koni, porządnego bydła, do którego nie opłaci mu się sprawić jakiejkolwiek maszyny, którego nie stać na zakupno sztucznego nawozu lub zrobienia jakiejkolwiek melioracyi. Przypatrzmy się na Śląsku, Morawach, w Czechaeh. Tam jeden siedzi na 20 lub 50 morgach z dziada pradziada, tam gospodarstwo z roku na rok nie rozpada się i nie drobnieje. Temu, co jest na niem, warto posłać syna do szkoły rolniczej, choćby na 3 lata, bo on do tego zamożnego gospodarstwa powróci, na niem siedzieć będzie i swym potomkom w całości przekaże. Takiego gospodarza stać na to, aby resztę dzieci kształcić gruntownie, posyłać do szkoły zawodowej, która im da chleb w rękę, przynoszący nieraz więcej, niż rodzinne gospodarstwo.

Połóżmy więc kropkę nad i, powiedzmy otwarcie i głośno, że przyczyną opłakanego stanu, braku postępu rolnictwa u włościan, przyczyną tworzenia się proletaryatu rolnego jest rozdrabnianie gospodarstw włościańskich. I to szybkim krokiem naprzód iść musi, bo bieda rodzi biedę, coraz większe rozdrabnianie ziemi poniżej rozmiarów, niezbędnych do jej wydatności, coraz większą biedę rodzić będzie.

Na to nie poradzi najlepsza włościańska szkoła rolnicza, gdy warsztat się skurczy i za mały, nic nie poradzi komasacya z każdym rokiem trudniejsza do przeprowadzenia. Główne złe leży w kodeksie cywilnym, rozbijającym gospodarstwa włościańskie w razie śmierci beztestamentowej; w szacunku wartości ziemi celem spłat nie wedle dochodu, jaki przynosi, lecz wedle jej targowej ceny. Złe leży w dowolności i możności wedle dzisiejszych ustaw

rozdrabniania ziemi na okruszyny, które za podstawy gospodarstwa rolnego uważane być nie mogą. Usunięcia tych trzech głównych podstaw złego chłop polski, jeśli ma zostać polskim chłopem-gospodarzem dopominać się jak najprędzej musi, inaczej zginie. To jest ważniejsze, niż wszystko inne.

Co słychać w świecie?

(Patrz rycinę)

W Maroku, w Afryce, wybuchnęły znów niepokoje. Mianowicie na posiadłości hiszpańskie w północnem Maroko napadli Kabylowie, jeden z szczepów dzikich, tam zamieszkujących. Nasamprzód zburzyli kolej, wiodącą z miasta hiszpańskiego Melilla do sąsiednich kopalń ołowiu i żelaza, a potem zaatakowali miasto. Walka z Kabylami jest trudną, gdyż nie występują oni najczęściej do bitwy w otwartem polu, tylko chowają się po krzakach i rozpadlinach i atakują z zasadzki. Gdy zaś idą w otwarte pole, to muszą mieć dobre pozycye. Hiszpanie sprowadzili wojska z kraju i zadali dużą klęskę Kabylom. Walka potrwa jednak długo przy tym sposobie jej prowadzenia i Hiszpania ma wcale ciężki kłopot.

Pod Melilą.



Kabyle przy ognisku.

Zwłaszcza, że z trudności w Maroko skorzystali łotrzy-rewolucyoniści wewnątrz kraju. Za podburzeniem socyalistów w prowincyi katalońskiej, głównie w mieście Barcelonie, tłum zaczął stawiać barykady i atakować wojsko, tak, że byłoby doszło do prawdziwej rewolucyi, gdyby nie energia rządu, który natychmiast zawiesił konstytucyę, ogłosił sądy doraźne i posłał dość wojska, aby stłumić zaburzenia. Teraz panuje już prawie zupełny spokój, a zresztą burzycieli porządku da sobie rady i będzie mógł przeprowadzić energicznie kampanię w Maroko.

Prusak jako wychowawca.

W ostatnich latach urządzono w różnych okolicach Prus domy wychowawcze dla małoletnich przestępców i dzieci zaniedbanych. Wychowanków umieszczają w takich zakładach sądy, a kierują niemi urzędnicy, których dostarczają humanitarne zakłady, opiekujące się dziećmi, oczywiście luterskie. Domy takie urządzono także w W. Ks. Poznańskiem, a między innemi w Mielżynie. Kierownikiem domu mielżyńskiego jest pastor luterski Breithaupt; do pomocy przydany jest inspektor i personal składający się z 11 urzędników.

Zakład mielżyński istnieje dopiero od kilku miesięcy a już pojawiły się w prasie berlińskiej głosy o nadużyciach i o systematycznem katowaniu wychowanków. Sprawa stała się głośną, a że w zakładzie mieszczą się przeważnie dzieci, pozbierane z bruku berlińskiego, magistrat stolicy wysłał komisyę, mającą zbadać, o ile zarzuty i fakty podane w prasie są prawdziwe. Członkowie komisyi powrócili po paru dniach dochodzeń. Referat ich stwierdza, że wszystko, co opowiadano o dręczeniu wychowanków jest prawdą, że zwłaszcza zarząd zakładu nadużywał przysługującego mu prawa stosowania kar cielesnych. Protokół komisyi, ogłoszony przez dzienniki berlińskie, o brutalności tych, których zadaniem było zastąpić opuszczonym opiekę rodzicielską i małoletnich, powierzonych ich opiece, podnieść moralnie w atmosferze miłości i troskliwości.

Protokół z urzędową suchością streszczający zeznania przesłuchiwanych, podaje oburzające szczegóły. Pastor Breithaupt, urzędowy „opiekun“ zakładu, z zimną krwią, w poczuciu, że dokonuje aktu sprawiedliwości streszczał swój system: „Zasadniczo“ bił w trzech wypadkach: za każde przekroczenie regulaminu zakładowego, za kradzież i za próbę ucieczki. Dzieci musiały *same głośno liczyć zadawane im razy*; z czasem zaczął się namyślać, czy ten nakaz nie jest zbyt surowym! Z początku bił sam, potem powierzył to swemu zastępcy, inspektorowi Englowi, a sam się tylko przypatrywał. Nie zadawano nigdy *więcej* (!) nad pięćdziesiąt razów; o tem, że regulamin pozwala tylko na 10 uderzeń, w wyjątkowych wypadkach, nie wiedział. Gdy przypuszczono, że wychowanek chce uciec, wiązano mu ręce w pasie. Karę aresztu stosowano w ten sposób, że zamykano dzieci w pustej celi, z posłaniem słomy. Zamykano jednak dzieci także w piwnicy. Jedno z nich spędziło tam dwie nocy z rzędu; słomy mu nie dano; nocowało na gołych kamieniach posadzki, nogi miało skrępowane sznurem. Między dozorcami znajdował się jeden, cierpiący na delirium tremens, nie odprawiono go, tylko, jak twierdzi pastor Breithaupt, perswazyami przemieniono nie w abstynenta wprawdzie, ale w „pijącego umiarkowanie“. Dawanie śniadań i kolacyj uznano za zbyteczne; odjęcie potrawy mięsnej z obiadu uważał pastor za pedagogiczne i higieniczne. „W ciężkich przypadkach“ dawano tygodniami tylko chleb i wodę, zaprowadzając przytem bezwzględne silentium.

Komisya interesowała się jednak szczególnie karami cielesnemi, dokładnie wypytując się o ten proceder. Pastor zeznał więc, że jeśli dziecko było przy biciu „oporne“, t. j. wyrywało się, krzyczało lub płakało, kara rozpoczynała się na nowo; po-

przednich uderzeń nie liczono i zaczynano rachować od pierwszego! Pewnego dnia sześcioro dzieci jedno po drugiem, otrzymało po 50 plag. Bito twardą szpicrutą albo laską; od kwietnia jedna szpicruta już się zniszczyła, obecnie pracowała druga.

Tak zeznał sam „opiekun". Jego pomocnik inspektor Engel, także dorzucił wiązkę interesujących szczegółów. Z własnej inicyatywy, jak twierdzi, nie bił nigdy, tylko na polecenie, ale i to rzadko, bo pastor wolał zwykle spełniać sam tę funkcyę. Natomiast jego obowiązkiem było wiązanie dzieci. Raz skrępował jedno o godzinie 11 w nocy i położył w pralni na posadzce kammiennej; rozwiązał je o 5 rano, poczem dziecko otrzymało „dodatkową" karę od samego dyrektora, t. j. 50 plag za kłamstwo. Po tem wszystkiem dziecko dostało gorączki i lekarz trzymał je przez czas dłuższy w łóżku. Engel był zwolennikiem energicznej metody; nosił przy sobie rewolwer i pokazywał wychowankom na znak, że „jest przeciw wszystkiemu uzbrojony".

Jeden z członków komisyi, lekarz, oglądał dokładnie wielu chłopców i u kilku znalazł na ciele wielkie, świeże blizny. Jeden z chłopców opowiedział, że przez dwie doby leżał skrępowany w piwnicy z ziemniakami, bez pożywienia; koledzy karmili go ukradkiem. U jednego z dzieci stwierdził lekarz wielką ranę ropną na nodze, zalepioną kawałkiem brudnej waty. Rana powstała od długiego noszenia więzów z grubego sznura.

Takich przykładów podaje protokół komisyi bardzo wiele — a wreszcie dochodzi do konkluzyi, że „w zakładzie obchodzono się z wychowankami w sposób okrutny". W rezultacie cały personal zakładu będzie zmieniony, a nad miejskimi zakładami poprawczymi ma być ustanowiona stała systematyczna kontrola.

Czy to się na co zda?! Pruskie wychowanie jest znane. Mało to dzieci polskich pochorowało się albo i pomarło od kijów dawanych przez pruskiego nauczyciela. A Września...?

Z doświadczeń rolniczych.

Gdzie nauka radzi
A praca gromadzi,
Oszczędność zachowa
A cnota jest zdrowa,
Tam też miły bracie
Pomyślność jest w chacie.

O urządzeniu gnojowni.

Wadami przy zakładaniu gnojowni są: 1) za mało obszerne zbiorniki gnojówki, 2 wadliwy odpływ gnojówki do zbiornika i 3) dostawanie się wody deszczowej do gnojowni oraz wody podczas roztopów z podwórza lub dachu. Gnojownię źle założoną można z niewielkim kosztem w wielu przypadkach przyprowadzić do właściwego stanu.

Najważniejszą sprawą jest przedewszystkiem założenie obszernego zbiornika czyli studzienki dla gnojówki, zbierającej się na spodzie gnojowni. Zbiornik ten powinien mieć takie rozmiary, że nawet wtenczas, kiedy dla pilnych prac w polu, nie ma się czasu wywozić gnojówkę w pole, zawartość zbiornika nie przeleje się. W koło gnojowni powinna być grobelka wybrukowana kamieniami albo mur z cegieł nie wyższy jak 30—40 centymetrów. Ogroblenie to nie pozwoli wypływać gnojowce na podwórze i chroni gnojownię przed wtargnięciem wody z podwórza.

Skoro się potem spód gnojowni wyrównało i spadek urządziło dostateczny z wszystkich stron ku zbiornikowi, to dopiero gnojownia może służyć swemu celowi. Spód gnojowni najlepiej utwierdzić gliną mocno ubitą. Zbiornik gnojówki czyli studzienkę najlepiej obmurować, a szczeliny pomiędzy cegłami zasmarować wapienną przyprawą lub cementem.

Mierzwa z takiej gnojowni jest zawsze lepszą i skuteczniejszą, aniżeli obornik ze stajni, z którym obchodzono się niedbale. Oczywiście należy mierzwę na gnojowni raz po raz mocno udeptać i zawsze utrzymać w wilgotnym stanie skrapianiem gnojówką a nawet i wodą.

Rozmiary gnojowni zależą zupełnie od ilości mierzwy otrzymanej.

Kanclerz Bülow w odstawce.



Chciałeś zniemczyć nas z kretesem,
Wyprzeć z naszych chat i roli;
Więc szarpałeś się z rwetesem,
Chcąc rozjątrzać, co nas boli.

Knułeś prawa jadowite
Od poranku aż do zmierzchu,
I pomysły znakomite,
By nas zdmuchnąć z świata wierzchu.

Więc dźwigałeś wodę w dzbanku,
Lejąc na nas, co się dało,
Aż tu naraz, nasz mospanku,
Kruche ucho się urwało.

I zostałeś sam jak kołek,
Z twym kanclerskim majestatem,
Terminatkę i tobołek
Dano tobie, razem z — batem.

Tak Bernardku, sprawa licha!
Ano, bratku, miałeś chryję,
I twój chudy jakoś z cicha
Przeciwpolski pudel wyje...!

Szkodliwemi gnojowni są latem gorące promienie słońca. Ogrzewają one i wysuszają zanadto mierzwę. Celem przeszkodzenia temu poleca się posadzić w koło gnojowni drzewa. Zdarza się jednak niekiedy, że po kilku latach drzewa usychają. Polega to na tem, że z gnojowni, której spód lub ściany w ziemi nie są szczelne, gnojówka przenika z łatwością sąsiednie warstwy ziemi. Korzenie zaś drzew nie znoszą większych ilości gnojówki w ziemi i wkrótce z tej przyczyny zamierają. W tym razie lepiej zaniechać ponownego zasadzenia drzew.

Można jednak spróbować z czarnym bzem, który nieraz w najbliższem sąsiedztwie gnojowni lub kup gnoju jak najbujniej wyrasta. Przedewszystkiem jednak nadają się do obsadzania gnojowni takie drzewa, które dają wiele cienia. a zarazem znoszą znaczne dawki nawozu (gnojówki) w ziemi. Chociażby się bowiem i obmurowało gnojownię, to jednak dosyć często przesączą znaczną ilość gnojówki przez drobne szczeliny muru w ziemi. Do ocienienia gnojowni nadają się w około najlepiej: topol srebrna i ciemna, zwykła wierzba, kasztany i szerokolistna lipa. Należy je zasadzić w odległości 7—8 metrów od gnojowni.

KRONIKA.

Nasze ryciny. Obok obrazka zaczerpniętego z jednego pisma polskiego w Prusiech, przedstawiającego kanclerza Buelòwa jak odchodzi z urzędu kanclerza ze swym słynnym pudlem, podajemy rycinę wyobrażającą Kabylów, siedzących przy ognisku nad którem sterczą głowy ściętych Hiszpanów. Kabyle są szczepem dzikim i okrutnym, jeźdźców hiszpańskich dręczą, kaleczą na całem ciele, a nieraz i żywcem palą. Są słynnymi jeźdźcami i na swych arabskich koniach atakują śmiało nawet większe oddziały piechoty.

Pomnik Tadeusza Kościuszki w Chicago odsłonięty będzie w połowie września. Wykończono już ostatnią grupę dla ozdoby pomnika. Grupa ta przedstawia żołnierza amerykańskiego z proporcem w ręku, jak rozcina mieczem postronki, krępujące ręce młodzieńca. Postać główna przedstawiająca Tadeusza Kościuszkę w mundurze generała Stanów Zjednoczonych. oraz grupa „Racławicka“ z Bartoszem Głowackim jest już odlana w brązie i zupełnie gotowa.

Cholera. Z Królewca w Prusiech telegrafują: Przybyły tu wraz z żoną młody Amerykanin z Japonii, który przejechał przez Rosyę, zachorował na cholerę. Izolowano go natychmiast wraz z żoną; nasiępnie zmarł i został pogrzebany. Zarządzone środki ostrożności wykluczają rozszerzenie się epidemii, ale na wszelki wypadek izolowano żonę zmarłego i dozorcę. Stan ich zdrowia nie budzi obaw.

W Petersburgu cholera rośnie z każdym dniem i zbliża się ku Królestwu Polskiemu.

Grad w Styryi. Zeszłej soboty po południu nawiedziła wschodnie okolice Styryi straszliwa burza gradowa. — Grad padał wielkości kurzego jaja; niektóre kawałki ważyły przeszło pół kilograma. Katastrofa zniszczyła jeden z najurodzajniejszych okręgów Styryi na przestrzeni 40 kilometrów długości i 15 kilometrów szerokości. Najwięcej ucierpiały od katastrofy okolice miasta Friedau. — Na całem terytoryum, nawiedzonem burzą, nie ma jednego domu, którego dachy nie byłyby uszkodzone, ani jednej szyby całej. W wielu domach woda, wpadając przez wybite gradem w dachach otwory. poniszczyła meble i sprzęty. Miasto Friedau przedstawia obraz zniszczenia, jakby po zbombardowaniu; Ogrody warzywne i owocowe są w zupełności zniszczone, w lasach nie pozostało na drzewach ani jednego liścia; potężne nieraz konary drzew grad połamał. Szkoda przenosić będzie kilkanaście milionów koron. — W czasie burzy przejeżdżał przez Friedau pociąg osobowy, idący z Budapesztu. Pasażerowie musieli pochować się pod ławki, by uniknąć stłuczenia i okaleczenia przez kawały padającego gradu. Znaczna ilość osób, które burza zaskoczyła w polu, poniosła ciężkie rany.

Miliony w morzu. W Anglii rozpoczęto znów pracę nad wydobyciem z dna morskiego statku „Lutine“, który zatonął w r. 1799 z 15 milionami guldenów holenderskich w złocie. „Lutine“ była statkiem wojennym i płynęła do Hamburga, zatonęła zaś koło wyspy Terchelling. Anglia prowadziła wówczas wojnę z Francyą, Holandya zas, do której należała wyspa, była sprzymierzona z Francyą, więc okret zatopiony stał się jej łupem wojennym. W r. 1825 Wilhelm I odstąpił „Lutine“ wraz ze skarbami Anglii, która sprzedała swe prawa towarzystwu Llyoda. W ciągu ubiegłego stulecia wydobyto złota i monet na kwotę miliona guldenów holenderskich. Od czasu do czasu pojawiały się notatki o tem, Lloyd zaś zorganizował osobną straż, celem ochrony zatopionych skarbów. Teraz pewne stowarzyszenie techników zawarło z Lloydem układ o wydobycie od razu całej reszty złota. Skonstruowano aparat, który dokona wydobycia w ciągu paru tygodni; mianowicie jest to przyrząd do wydobywania piasku. mogący w 24 godzin wydobyć 40.000 tonn. Przyrząd będzie połączony z osobnym statkiem, na którym będą się znajdowały rury do pompowania powietrza, oraz podwodne reflektory. Następnie ulegnie wessaniu piasek pokrywający „Lutin“ i wypełniający statek wewnątrz, następnie albo sam okręt będzie podniesiony w górę i opróżniony, albo też, jeżeli już zgnił, dobywać go będą częściowo, złoto zaś z dna morskiego zbierze przyrząd razem z piaskiem i dobędzie na powierzchnię, gdzie zostanie oczyszczone.

Postawił dom w 12 godzinach. Młody architekt amerykański W. C. Carl w St. Louis zdobył niedawno rekord w szybkości budowy domu. W dniu ślubu postanowił zrobić żonie niespodziankę i zbudować dom w wybranem przez nią miejscu. Jeszcze o godzinie 6 rano plac był pusry. O godz. 8 zwieziono materyały do budowy kamieni, cegły, belki i deski. Praca była poprzednio zorganizowana w najdrobniejszych szczegółach, ramy okien i drzwi złożone i ponumerowane. W przeciągu półtorej godziny armia murarzy zbudowała fundament. Potem cieśle zabrali się do pracy, składając numerowane i dopasowane belki i obijając je deskami. Około południa zaczęto już pokrywać dach, równocześnie wewnątrz wykończono ściany i zaprowadzono światło elektryczne. Punktualnie o godz. 6 wieczorem robotnicy odeszli, mała willa była zupełnie gotowa. Składa się ona z dwóch jasnych pokoi, dużego salonu, łazienki, i t. p. Zaledwie zniknęli robotnicy, zajechał wóz z meblami, pospiesznie rozwieszono obrazy; ustawiono sprzęty. O godzinie 8 wieczór przybył architekt z żoną i orszakiem weselnym na ucztę do nowego domu.

„Rola“ powinna znaleść się w każdym domu rolnika! Rozszerzajmy „Rolę“!

Anglia nie jest wyspą!

Taki okrzyk rozległ się w Europie przed kilku dniami, gdy francuski żeglarz napowietrzny Bleriot przeleciał na swym aeroplanie cieśninę La Mansz między Anglią a Francyą. Przygotowania i wzlot miały przebieg następujący:

Bleriot od kilku dni bawił w Calais i codziennie przedsiębrał próby ze swą jednopłaszczyznową maszyną powietrzną. W sobotę była pogoda szczególnie niekorzystna, wskutek czego wzloty były bardzo krótkie. Silny wicher wzburzał wysoko fale kanału; morze powietrzne było równie burzliwe. Warunki były tak złe, że komendant kontrtorpedowca, któremu ministerstwo marynarki poleciło towarzyszyć żeglarzowi powietrznemu w drodze przez kanał, oświadczył stanowczo, że gdyby któryś z aeronautów chciał przy tak silnym wietrze podjąć podróż, on nie mógłby płynąć w jego ślady bez specyalnego rozkazu paryskiego ministerstwa marynarki. Aż do wieczora wiatr dął z niezmniejszoną siłą; dopiero w nocy zmienił się jego kiernnek; powietrze uspokoiło się nieco. Bleriot około północy przybył jeszcze raz do hali, w której był pomieszczony jego aeroplan, jeszcze raz też zbadał warunki atmosferyczne. Ostatecznie doszedł do przekonania, że przy tym stanie pogody może zaryzykować podróż przez kanał. Zawiagomił o tej decyzyi komendanta kontrtorpedowca i oświadczył mu, że w razie, gdy pogoda do rana się nie zmieni, wyruszy w zamierzoną drogę, nawet gdyby musiał zrezygnować z pomocy statku. Komendant zwrócił się z telegraficznem zapytaniem do urzędu marynarki i otrzymał rozkaz towarzyszenia Bleriotowi bez względu na pogodę. Równocześnie przysłał Bleriot wiadomość o swej decyzyi do Dovru, skąd odpowiedziano mu, że od wczesnego poranku będą czekać okręty przygotowane do wyjazdu, aby w razie potrzeby pospieszyć mu z pomocą.

W ciągu ostatnich godzin pogoda zmieniła się na korzyść; niebo rozjaśniło się, a szanse podróży stawały się coraz lepsze. Bleriot jeszcze przed godz. 4 znalazł się na miejscu; niebawem przybyli także jego przyjaciele. — Z powodu wczesnej pory na miejsce wzlotu zebrało się niewiele tylko publiczności. O godz. 4 min. 15 zawiadomił Bleriot telegrafem bez drutu stacyę aeronautyczną w Doverze, że bezwarunkowo wyrusza w drogę i zaczął czynić przygotowania do wzlotu. Mniej więcej w kwandrans później wzniósł się już w powietrze na wysokość 30 m. i odrazu skierował machinę ku Doverowi. W ślad za nim ruszył kontrtorpedowiec francuski, aby w razie jakiegoś wypadku pospieszyć aeronaucie na pomoc. Bleriot w ostatniej chwili zmienił plan. Zamiast ruszyć prosto do Doveru, przedsięwziął kilka obrotów, celem stwierdzenia, czy wszystkie maszynerye sterowe i motorowe należycie funkcyonują. W kilka minut później aeronauta zniknął z oczu osob, spoglądających za nim z wybrzeży francuskich, Pożegnały go huczne oklaski.

Podróż odbywała się pomyślnie. Motor pracował precyzyjnie. Po upływie 23 minut od chwili wzlotu ujrzały tłumy zgromadzone koło Doveru przybywającego aeronautę. Rozległy się entuzyatyczne okrzyki, powiewano chustkami, klaskano. Tuż po godzinie 5 rano Bleriot zatoczył koło nad wybrzeżem angielskiem i wylądował. Władze policyjne miały niemało pracy, aby powstrzymać tłumy, cisnące się ku aeronaucie. Niebawem przybyli liczni przedstawiciele angielskich kół aeronautycznych, którzy w tryumfie odwieźli aeronautę do hotelu. Przed bramą hotelu poczęły się cisnąć tłumy ciekawych. W wielkiej sali restauracyjnej odbyły się śniadanie na cześć Bleriota, podczas którego wygłoszono liczne toasty. Bleriot odpowiedział, dziękując za owacyę i stwierdzając, że cała podróż odbyła się bez szczególnych trudności.

* * *

Bardzo interesujący jest opis podróży, jaki sam Bleriot dał sprawozdawcom dziennikarskim:

— Zdecydowałem się — mówił Bleriot — odbyć podróż jak najwcześniej rano, ponieważ doświadczenie pouczyło mnie, że o tej porze kierunek wiatru bywa zazwyczaj stały. Wstałem już o godz. 2 nad ranem i począłem czynić przygowaniania do startu, aczkolwiek bolały mnie trochę rany z oparzenia, jakie niedawno odniosłem. Z Calais pojechałem do Baraet, gdzie aeroplan był umieszczony w drewnianej szopfe. Przekonawszy się, że kierunek wiatru się niezmienia, wzniosłem się w powietrze i na równinie Baraet odbyłem próbny przelot, trwający 15 minut. Aeroplan funkcyonował wybornie.

O godzinie 4 mint 35 rozpocząłem przelot przez kanał. Skierowałem się ku morzu; przeleciałem ponad ławicami piaskowemi. Aby bezpiecznie przelecieć nad drutami relegraficznemi, przesunąłem miejsce startu i minąłem druty, wznosząc się nad niemi 60 metrów. Na kilka mil przed sobą widziałem francuski kontrtorpetowiec „Escopette“, płynący pełną siłą pary ku Doverowi. Skierowałem się za nim, dogoniłem go, a niebawem prześcignąłem.

Machina pędziła z szybkością 68 klm. na godzinę: śruby obracały się około 1400 razy na minutę. Aeroplan płynął w wysokości 80 metrów nad morzem; czasem obniżał się nieco, a wtedy dopuszczałem więcej benzyny do motoru, „Escopette“ zniknął mi powoli z oczu: wybrzeże angielskie było zakryte mgłami. Mniej więcej przez dziesięć minut nie widziałem nic prócz nieba i wody. Była to chwila wielkiej niepewności, nie wiedziałem bowiem, czy jadę w dobrym kierunku. Nie obawiałem się jednak; świetne funkcyonowanie machiny dodało mi odwagi. Gdy wreszcie ujrzałem ląd przed sobą, przekonałem się, że zboczyłem z drogi. Podczas bowiem gdy skierowałem uwagę na kontrtopedowiec, przeoczyłem wiatr z południowego wschodu, który odpędził mnie na bok. Mógłbym był w owej chwili wylądować w Deal, ale postanowiłem przyprowadzić zamiar i opuścić się dopiero w Doverze. Zwróciłem więc machinę ku zachodowi i wzdłuż wybrzeża poleciałem milę lub więcej. Pod sobą widziałem flotę wojenną angielską; popłynąłem nad nią szybko. Wylądowanie było jednem z najtrudniejszych w mojej praktyce aeronautycznej. Gdy znalazłem się nad zamkiem Doveru, dostałem się w silny wir powietrzny. Musiałem zatoczyć dwa wielkie koła, obniżając się powali, aby ułatwić sobie opuszczenie się na ziemię. Mimo to aeroplan osiadł z większą siłą, aniżeli przypuszczałem, i wskutek tego odniósł nieznaczne uszkodzenia.

* * *

Równocześnie chciał przebyć kanał la Mansze niejaki Latham, którego wzlot opisywaliśmy w poprzednim numerze. W dniu kiedy Blériot przebył cieśninę Latham będący także w Calais, zerwał się rano i przekonawszy się, że pogoda zmieniła się na korzyść, chciał wyjść, aby rozpatrzeć możliwość wzlotu. Wtem wzrok jego przez otwarte okno padł na morze. W odległości czterech mil morskich od brzegu ujrzał kontrtorpedowiec, płynący całą siłą pary, a nad nim wysoko aeroplan współzawodnika. Z ust jego wyrwał się głośny okrzyk zdziwienia. Niebawem wstał także Latham; rozbudził się cały hotel, a jego mieszkańcy pobiegli do okien, aby przez lornety śledzić bieg aeroplanu. Latham i Lavavaseur, ubrawszy się pospiesznie, udali się do hali aeroplanowej. Latham postanowił za każdą cenę wyruszyć za współzawodnikiem i nie dać mu się ubiedz. Wyprowadzono machinę z hali; Latham puścił motor na próbę. Lecz obroty jego nie były zadowalające. Zanim jeszcze zdołał się wznieść w powietrze, nadeszła już telegrafem bez drutu wiadomość, że Bleriot stanął na ziemi angielskiej. Równocześnie wicher począł się wzmagać; warunki do wzlotu były jak najfatalniejsze. Latham musiał odłożyć podróż i przetransportować aeroplan z powrotem do hali. Nagle aeronauta rozpłakał się, jak dziecko, i długo nie mógł się uspokoić. Levavaseur pocieszał go; obaj postanowili wreszcie, że w najbliższy pogodny dzień odbędzie się nowy wzlot. Popołudniu Latham przesłał swemu zwycięskiemu współzawodnikowi telegraficznie życzenia.

3

BLIZNA.

(Ciąg dalszy).

— Tak jest. Jednego z mych naturalnych nieprzyjaciół, a jeżeli wolisz jednego z ludzi, którzy są naturalną moją zdobyczą. Jednem słowem jestem właśnie zajęty bardzo zawikłaną sprawą i spodziewam się, że w gadaninie tych biednych palaczy odnajdę klucz tajemnicy, jak mi się to już nieraz udawało. Gdyby mnie jednak poznano, byłbym zgubiony, gdyż nieraz już przychodziłem tam, aby się czegoś dowiedzieć, i ten Malajczyk, łotr pierwszej klasy, poprzysiągł mi zemstę. W tylnej ścianie tego budynku znajduje się okno. Gdyby to okno mogło mówić, opowiedziałoby straszliwe historye o tem, co się wyrzuca przez nie w ciemne, bezksiężycowe noce.

— Cóż takiego? Przecież nie myślisz chyba o trupach.

— Tak jest, o trupach. Gdybyśmy za każdego biedaka, którego tak uśmiercono, dostali po tysiąc funtów, nie potrzebaby już nam ani grosza. Jest to najstraszniejsza mordownia w całym Londynie i boję się, że Neville St. Clair dostał się tutaj i nie wyszedł już nigdy na światło dzienne.

Tutaj Holmes przerwał, włożył palce do ust i gwizdnął przeraźliwie. Niedaleko dał się słyszeć drugi podobny świst, poczem usłyszeliśmy turkot kół i tętent koni.

Z ciemności wynurzył się wielki wózek do polowania. Z latarni padały na nas dwa długie złotawe promienie.

— Jedziesz ze mną? — spytał Holmes.

— Jeżeli ci się zdam na co, to bardzo chętnie.

— Przyjaciel zawsze się na coś przyda, zwłaszcza, gdy w dodatku umie obchodzić się z piórem. W pokoju moim, „Pod cedrami“ mam dwa łóżka i tak.

— „Pod cedrami?“

— Tak jest, w domu St. Claire'a. Mieszkam tam, dopóki nie skończę poszukiwań.

— Gdzie to jest?

— Koło Lee w hrabstwie Kent. O siedm mil stąd.

— Ależ ja nie wiem zupełnie, o co chodzi.

— To też zaraz się dowiesz. Siadaj tylko. Pojedziemy sami, mój Janie. Ja będę sam powoził. Masz tutaj na piwo. Jutro około jedenastej z rana możesz tu na mnie czekać.

Holmes zaciął konie z lekka i pojechaliśmy szybko przez długie, puste ulice, które rozszerzały się zwolna, aż otworzyły się na szeroki most pod którym powoli płynęła brudna zamulona rzeka. I po drugiej stronie takie samo morze domów. Cisze nocną przerywało tylko jednostajne stąpanie policyantów i od czasu do czasu hałasy pijaków, powracających do domów. Na niebo wysuwała się zwolna ciemna masa chmur; gdzieniegdzie tylko przedzierało się światełko gwiazdy. Holmes milcząc jechał naprzód, z głową pochyloną na piersi, zamyślony. Mimo całej ciakawości, nie chciałem przerwać. Ujechaliśmy już parę mil i dosięgliśmy ostatnich will podmiejskich, gdy Holmes podniósł głowę, wzruszył ramionami i zapalił fajkę, oddawszy mnie lejce na chwilę, z miną człowieka, który jest ze siebie zadowolony, gdyż wie, że czyni wszystko, co w jego mocy.

— Ty masz, mój drogi, jeden rzadki przymiot: dar milczenia. Toczyni cię wprost nieocenionym towarzyszem — rzekł wreszcie. — Na honor, dla mnie jest to rzecz niesłychanej wagi, mieć kogoś, przed kim mogę się wygadać, gdy myśli moje nie są na razie najprzyjemniejszej natury. Właśnie myślałem nad tem, co powiem tej poczciwej kobiecinie, gdy dziś zechce się ze mną zobaczyć?

— Zapominasz, że o niczem jeszcze nie wiem.

— Zanim będziemy w Lee, znajdzie się właśnie dość czasu, aby opowiedzieć ci wszystko ze szczegółami. Historya sama wygląda niesłychanie prosto, a jednak nie wiem, co znią począć. Nitek pełno, lecz nie mogę trafić na właściwą. Pozwól przeto, że opowiem, ci wszystko jasno i wyraźnie. Być może, iż ty odnajdziesz jakie światełko tam, gdzie dla mnie jest wszystko zupełnie ciemne.

— Zacznij tylko, Słucham.

— Przed kilku laty, mówiąc dokładnie: w maju 1884, przybył do Lee człowiek nazwiskiem Neville St. Clair, jak się zdawało, zamożny. Zajął wielką willę, założył ładne ogrody i żył pod każdym względem na dużej stopie. Powoli zaczął wchodzić w stosunki sąsiedzkie i na koniec w r. 1887 ożenił się z córką tamecznego piwowara i miał z nią dwoje dzieci. (C. d. n.).

CENY ZBOŻA i BYDŁA.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Tow. rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 3 sierpnia (wtorek) 1909).

Pod wpływem wielkiego zaofiarowania nowego zboża a zupełnego braku chęci kupna ze strony kon-

sumentów, którzy obecnie wyjątkowo duże zaofiarowanie towaru chcą wyzyskać na swoją korzyść, ceny wszystkich prawie artykułów uległy dzisiaj dalszej zniżce. — Targ dzisiejszy wykazywał obroty minimalne. Sprzedawano: pszenicę białą od 00·00—00·00 kor., czerwoną od 13·50—14·00 kor., uszkodzoną 00·00 do 00·00 koron, żyto 10·00—10·50 kor., jęczmień 8·50 do 9·00, owies do siewu 00·00 do 00·00 kor., owies na paszę 10·60 do 11·00 kor., kukurudzę starą 00·00 do 00·00 koron, nową 9·20—9·60 koron, kukurudzę Cinquantino 10·40—10·60 kor., groch zwyczajny 12·50 do 13·50 kor., groch Victoria 14·50—17·00, (do siewu) na paszę 00·00—00·00 kor., wykę nową 00·00—00·00 kor., bobik 0·00—00·00 kor., rzepak 14·00—14·80 kor., otręby pszenne 6·50—6·70, otręby żytnie 6·50—6·60, koniczyna nasienna czerwona 00·00—000·00 kor., biała 00·00—00·00, tymotka 00·00—00·00 kor. Wszystko za 50 klgr.

Z miejskiej centralnej targowicy na bydło w Krakowie. Dnia 3-go siepnia b. r. spędzono na targ bydła rogatego sztuk: 153, cieląt 259, owiec i kóz 1, nierogacizny 296. Razem 708 zwierząt. Płacono za jeden cetnar metryczny żywej wagi: buhaje od 56·00 do 68·00 kor., woły 46·00 — 66·00 kor., krowy 00·00—00·00 jałownik 00·00—00·00 kor., cielęta 00·00—00·00 k., nierogaciznę tuczną 112·00 — 00·00 kor., bitej wagi: nierogaciznę 160·00—174·00 kor. Z zakupionych na oko płacono za sztukę: woły z paszy 130·00—300·00 k., krowy 80·00—130·00 kor., buhajki i jałówki 52·00—106·00 kor., cielęta 18·00 — 50·00 kor., owce i kozy 13·00—00·00 kor., buhaje 106·00—200·00 kor. — Ze spędzonych na targ zwierząt sprzedano sztuk: na miejscową konsumcyę 602, na konsumcyę innych gmin kraju 106, na eksport za granicę kraju bydła rogatego 00,—, na eksport za granicę kraju nierogacizny 00. Ceny powyższe obliczono bez opłaty akcyzowej.

Komunikat Biura handlow.

dla eksportu bydła

c. k. Tow. Rolniczego w Krakowie, ul. św. Jana 2.

Ceny w koronach za 100 kg żywej wagi.

Wiedeń, dnia } 2 sierpnia 1909 targ na bydło; 3 „ „ „ „ świnie

Rodzaj	Ilość	SORTA I.	SORTA II.	SORTA III.
Woły	2848	80—88	74—79	66—73
Buhaje	762	72—80	64—72	—
Krowy	711	70—76	56—66	—
Bydło z paszy .	—	—	—	—
Bydło ost. sorty	1360	30—50	—	—
Jałownik	—	—	—	—
Cielęta bite . . .	2387	98—136	—	68—96
Świnie węgier. .	11071	124—127	106—120	94—104
„ **galic. I.**		116—124	—	—
„ **galic. II.**		—	90—112	—
Knury czyszczone i maciory tuczne			—	96—104

U w a g i: Spęd bydła o 184 sztuk większy. — Ceny wołów około 1 kor. wyższe — buhai zaś, krów i bydła ostatniej sorty o 2 kor. wyższe. Ceny cieląt zeszłotygodniowe. — Świń tłustych o 500 sztuk więcej, ceny około 1 kor. wyższe — młodych zaś o 170 sztuk mniej, ceny od 1—2 kor. wyzsze, a w niektórych wypadkach od 2—4 kor. wyższe.

Ceny w koronach za 100 kg. żywej wagi.

Kraków, dnia } 30 lipca 1909 targ duży; 3 sierpnia „ „ mały

Rodzaj	Data	Ilość	SORTA I.	SORTA II.	SORTA III.
Woły	30/7	222	46—66	46—68	—
	3/8	121	130—300	130—300	za sztukę
Buhaje	30/7	56	56-68	56—68	—
	3/8	14	106—200	106—200	za sztukę
Krowy	30/7	117	58	58	—
	3/8	10	80—130	80—130	za sztukę
Jałownik	30/7	58	68—90	68—90	—
	3/8	7	52—106	52—106	za sztukę
Cielęta	30/7	439	15—60	15—60	—
	3/8	259	18—50	18—50	za sztukę
Owce	30/7	5	13	13	—
	3/8	1	—	—	—
Świnie żywe . . .	30/7	451	112	112	—
	3/8	296	—	—	—
„ bite . . .	30/7	—	156—170	156—170	—
	3/8	—	160—174	160—174	—

U w a g i do targu z dnia 30 lipca 1909 r.: Spęd bydła mniejszy niż w poprzednim tygodniu, za woły i buhaje płacono od 2—4 kor. drożej, niż w poprzednim tygodniu — krowy o 2 kor. taniej. — Ceny świń niższe o 3 kor., na bitą wagę o 4 wyższe.

U w a g i do targu z d. 3 siepnia 1909 r.: Spęd znacznie większy niż zwykle — sprzedaż bydła na sztuki, świń na bitą wagę — ceny jednak znacznie się podniosły.

F. Pamm

Kraków, Zielona 3-6

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.

Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.